Nr. 24. We Lwowie dnia 17. czerwca 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z DZIEJÓW PRASTAREJ WSZECHNICY.

II. Uroczystość otwarcia w r. 1400.

Na prośbę Jadwigi i jej męża Władysława Jagiełły zezwolił w r. 1397 papież Bonifacy IX. na zaprowadzenie w szkole głównej krakowskiej wykładów teologji, odnawiając w ten sposób akademję przez Kazimierza Wielkiego założoną. Otwarcie jednakowoż mogło nastąpić dopiero po śmierci Jadwigi dnia 22. lipca 1400 r. Jakoż w tym dniu otworzony został przy ulicy św. Anny, w tak zwanem do dziś dnia kolegium jagiellońskiem, uniwersytet zupełny, a w dwa dni później nastąpiły wpisy do matrykuły uniwersyteckiej, gdzie na czele umieszczono nazwisko Władysława Jagiełły, a potem nazwiska Piotra Wysza, biskupa krakowskiego, Mikołaja z Kurowa, biskupa władysławskiego, Jana z Tęczyna, kasztelana krakowskiego, oraz 12 prałatów kanoników, 28 proboszczów i 205 uczniów.

Uroczystość otwarcia odbyła się w sposób następujący:*)

Tegoż dnia rano między ósmą, a dziewiątą, za danym znakiem w kolegium Kazimierza W. zeszli się dziekani wszystkich fakultetów, profesorowie i rektor ówczesny Stanisław ze Skarbimierza, w długą szkarłatną odziany togę i zaraz poprzedzany przez bedelów z długim szeregiem doktorów, magistrów i młodzieży udał się na zamek krakowski, gdzie go u bramy urzędnicy nadworni uprzejmie powitali i poprowadzili do kościoła zamkowego. Akademicy zastali już tutaj króla Jagiełłę. Po skończonem nabożeństwie udali się wszyscy na zamek, gdzie rozpoczęło się posiedzenie senatu. Stojący w pośrodku z profesorami rektor w treściwej mowie wychwalał króla, jego troskliwość i łaskę, poczem zabrał głos kanclerz koronny Mikołaj z Kurowa, biskup władysławski i oświadczył, że wolą jest królewską, aby rektor i profesorowie do domu Stefana Pancerz, na mieszkanie przenieśli się, na co rektor przyrzekł, iż „da li Bóg akademia stanie się ozdobą nie tylko miasta, ale całego sarmackiego świata — a nawet chrześcijaństwa“.

Wziąwszy więc pozwolenie, rektor i profesorowie w posiadanie nowego kolegium byli wprowadzeni, przyczem dom ten w kwiaty i ogromne gałęzie drzew przyozdobiono, jako przyszły muz Appolina przybytek. Teraz więc całe staranie na to obrócono, aby izby na lektoria i stoły na katedry i ławki przysposobić. Otwarcie odbyło się w dzień po św. Jakóbie ewangeliście, na które króla wraz z senatem i panami koronnymi i litewskimi zaproszono. Dniem więc wprzódy ubrani w togi profesorowie, pokornie króla na otwarcie akademji zapraszali, oznajmiwszy nadto o tej uroczystości po wszystkich kościołach.

Tego więc dnia król z przepysznym i długo ciągnącym się orszakiem, udał się z zamku na ulicę św. Anny. Naprzód postępował dwór królewski, konno i w świetnej zbroi, potem konne i piesze wojsko na pięknych koniach i świetnie odziane. Potem szedł rektor w todze purpurowej aksamitnej, z takimże biretem, złotym galonem obszytym, dalej profesorowie teologji w togach aksamitnych fioletowych, dalej dziekan filozofów w todze szkarłatnej galonowej, po nich szli profesorowie gęstym orszakiem królewskich halabardników otoczeni, za nimi szedł senat biskupi, wojewodowie i kasztelani w złocistych deliach i w czerwonych butach z nosami wysoko w górę zagiętymi, niektórzy mieli kołnierzyki perłami wysadzane i rękawy długie wiszące za pas pozatykane, żeby po ziemi się nie wlokły i wywijane koszule, zwyczaj, który od niedawna dopiero nastał, gdyż wojewodowie obecni przy otwarciu akademji Kazimierza W. jeszcze bez koszuli chodzili. Przed senatem szedł marszałek koronny. Potem ciągnął się długi szereg książąt, nadwornych urzędników, konsulowie krakowscy wraz z całym urzędem miejskim i t. d. We wszystkich oknach, po gankach, nawet na dachach mnóstwo zebranych ludzi radosnymi oklaskami witały

*) Por. M. Wiszniewskiego Hist. literatury polskiej.

wchodzącą do miasta akademję wraz z królem. Lesiste postacie Litwinów zwracały oczy mieszczek krakowskich. Nie tylko niektórzy z tych dumnie przed Jagiełłą stąpających panów, ale i lud z natchnienia i przeczucia wiedział, iż tu wprowadzają do miasta wieczystą pochodnię, z której światło po całej Polsce rozchodzić się będzie.

Profesorowie wprowadzili króla i senat do nowego kolegium, gdzie kanclerz Wysz odczytał przywilej erekcyjny, a potem jako kanclerz akademii wygłosił pierwszą lekcję prawa kanonicznego. Następnie Stanisław ze Skarbimierza doktor prawa, pierwszy rektor Akademji, wychowany w akademji praskiej wygłosił długą mowę po łacinie, po której król i przytomni senatorowie zapisali się w metrykę akademicką, a Jagiełło udzieliwszy akademji herbu w kształcie orła na tarczy, którą trzyma św. Stanisław, a rektorowi dwa berła z koroną, akademikom na zamku wspaniałą wyprawił biesiadę.

SYMBOLISTA Z PRZED PIĘĆDZIESIĘCIU LATY

PRZEZ

WALERJĘ MARRENÉ-MORZKOWSKĄ.

I. Znana to rzecz, że chcąc zrozumieć autora trzeba przedewszystkiem zdać sobie dokładną sprawę z warunków, w których ten autor wzrastał, rozwijał się i pisał. Najbardziej nawet oryginalny talent musi tym warunkom podlegać, jak roślina czerpie soki z gleby, w której korzenie zapuszcza.

Warunki, w których żyło grono młodych talentów, w piątym i szóstym dziesiątku naszego stulecia, kiedy począł się u nas ruch umysłowy, były niezmiernie różne od dzisiejszych.

Piśmiennictwo perjodyczne jeszcze wówczas prawie nie istniało. Jedna gazeta, jeden Kurjer starczyły potrzebom kraju. Młode talenty nie miały wprost ujścia dla sił swoich, przez nich więc głównie i dla nich powstały czasopisma, bo potrzeby ich nie odczuwał ogół, zasypiający w błogim letargu zadowoleń materjalnych.

Założenie czasopisma, nie było też wcale zyskownem przedsiębiorstwem, ale wynikiem ofiarności. Prenumeratorów rachowano nie na tysiące, ale na dziesiątki zaledwie, a w lepszych razach na setki. Książki nie przynosiły korzyści autorom, wychodziły najczęściej ich nakładem, przy pomocy prenumeraty.

Życie umysłowe ogniskowało się na wsi, a całe bogactwo i znaczenie skupiało się w rękach obywateli ziemskich. Przemysł był w kolebce, zawody zaś które obecnie reprezentują głównie inteligencję, składały się z tak szczupłego zastępu, że ten nie mógł mieć głosu.

Dwory wiejskie były zcudzoziemczałe, używały prawie wyłącznie francuzkiego języka. Bony i nauczycielki z paryzkim akcentem rugowały w sercach zamiłowanie rzeczy swojskich. Wszyscy wzdychali do Paryża, jak wierny muzułmanie do Mekki. Właściciele ziemscy, mając władzę, dostatek, szerokie pole działalności, będąc na świeczniku nie umieli z tego korzystać. Kobiety szczególniej uważały się za nieszczęśliwe wygnanki z zagranicznego raju. Właściwą ich ojczyzną był Paryż. Ma się rozumieć czytały tylko po francuzku.

Co prawda, polskich powieści było wówczas bardzo nie wiele, a na powieściach zwykle ograniczało się czytelnictwo. Kraszewski rozpoczynał dopiero swój zawód, nie był jeszcze rzucił wśród społeczeństwa owego mnóstwa powieści, odtwarzających tak wiernie nasze obyczaje. Korzeniowski, pisał do tego czasu głównie sztuki dramatyczne, bardzo rzadko grywane. Sztyrmer, którego największa działalność przypada na okres między 40-tym a 44-tym rokiem był zbyt filozoficzny, by zyskać popularność w społeczeństwie odwykłem od myślenia.

Nie czytano więc prawie po polsku. Autorowie nasi musieli dopiero wyrobić sobie czytelników a czasopisma odbiorców.

Było to zadanie olbrzymie, a jednak za sprawą ludzi dobrej woli, dokonane zostało w przeciągu lat kilkunastu. Ale w ciągu tego okresu ileż mieliśmy zmarnowanych usiłowań. Czasopisma powstawały i upadały dla braku poparcia po kilku miesiącach suchotniczego istnienia. Odbiorcy uważali zwykle prenumeratę za rodzaj jałmużny, rzucanej z łaski, gdy byli oto nagabywani.

Dopiero „Bibljoteka warszawska“ założona i utrzymywana ofiarnością kilkunastu akcjonarjuszów, zogniskowała młode siły i stała się kamieniem węgielnym piśmiennictwa perjodycznego.

W pomoc przychodziły jej z początku różne wydawnictwa zbiorowe. „Noworoczniki“ „Jaskółki“ i tp. Charakterystycznym objawem chwili była ich zawartość, bo obok prawdziwych pereł znaj-

dowały się tam utwory nieskończenie słabe. W nich to, w „Bibljotece Warszawskiej“ i w istniejącym później przez lat parę „Przeglądzie naukowym“ młodzi drukowali swoje utwory. Na czele całej grupy stał Jan Bogdan Dziekoński, późniejszy autor Sędziwoja, lekarz gardzący praktyką, przyrodnik, magnetyzer, mistyk, może alchemik. Towarzyszami jego byli: Teofil Lenartowicz, twórca wspaniałego wiersza: Do poezji i ślicznych piosnek ludowych, Roman Zmorski wsławiony dramatem fantastycznym Lesław, Włodzimierz Wolski, który mając niespełna lat ośmnaście napisał Ojca Hilarego, Antoni Czajkowski, zapomniany dziś autor ślicznej Baśni o żelaznym wilku, Cyprjan Norwid i wielu mniej uzdolnionych, którym jednak nieraz udało się zabłysnąć jakiem szczęśliwem natchnieniem.

Młodzi autorzy, nie byli związani żadną tradycją, zaczynali niejako nową piśmienniczą erą i pełni zapału, stawiali społeczeństwu nowe ideały. Naturalnie ideały te były bardzo skrajne, wypowiadali je bez ogródek, tem samem już razili ogół i stanęli z nim w kolizji.

Byli romantykami w całem tego słowa znaczeniu, przyjmowali wierzenia ludu oraz cały świat fantastyczny przez wyobraźnię jego wytworzony: fakty nadprzyrodzone, duchy, czary, zaklęcia, przepowiednie miały prawo obywatelstwa w ich utworach.

Zgodnie z zasadniczą wiarą romantyzmu, całe młode grono stawiało uczucie ponad rozumem, a intuicję ponad wiedzę. Co prawda, posiadało ono, z wyjątkiem Dziekońskiego, zapas wiedzy bardzo szczupły, to co umieli zawdzięczali jedynie własnej prawie pracy, wiadomości ich więc były luźne, fantazyjne, nie tworzyły organicznej całości i z tego powodu lekceważenie wiedzy w ich ustach, jakkolwiek szczere, wyglądało zawsze trochę na owe niedojrzałe winogrona z bajki.

Romantyzm opierając się na pieśniach i podaniach ludu, już tem samem stawiał ten lud wysoko, czuł się z nim zbratany wierzeniami, ale pośród ówczesnych poetów uczucie to podniesione było do potęgi, wielu okolicznościami postronnemi. Lud więc był wielbiony a nawet bóstwiony bezkrytycznie i obdarzany na kredyt wszystkiemi wymarzonemi cnotami, jakich brakowało innym warstwom społecznym.

Te, które były na świeczniku, sfilistrzałe, w najgorszem tego słowa znaczeniu, zcudzoziemczałe, bezmyślne, mało wykształcone, nie troszczyły się nawet o podniesienie ekonomiczne i przemysłowe kraju, bo były nie nawykłe do jakiejkolwiek pracy a co gorsze, miały dla niej arystokratyczną pogardę.

Trafiały się naturalnie wyjątki, ale te, potwierdzały tylko reguły i nie mogły wywierać żadnego wpływu.

Nie dziw więc, że inteligencja, miała dla tych warstw lekceważenie, widziała w nich pasożytów nie rozumiejących nic nad materjalne użycie i nadawała im powszechne nazwy żywych trupów.

SEN NA SKRZYDŁACH ZMIERZCHU.

Gdy myśl, jak lotem strudzona mewa,
Bezsilnie spada, gaśnie, omdlewa,
W miękkie uciszeń tulę się szaty,
Zasłaniam okna mojej komnaty,
Pogrążam duszę w mroku półtonie
I piję róż mych głębokie wonie
I przywołuję w mroczność mą miłą
Wszystko com kochał, co mię pieściło...

Budzi się wszystko, co tajemnicze,
Co ma nieznane, dziwne oblicze,
I co pierzchliwe i co przelotne
I jak przeżyty dzień niepowrotne.

Przychodzi wszystko, co w świetle pierzcha:
Rozlewna tęskność, gdy niebo zmierzcha —
Snów ręce mgliste, lekkie, kładzione
Na oczy senną jawą znużone —
Wszystko, co dziwne, zciszone, senne —
Co ma głębokie oczy bezdenne —
Wszystko co stąpa cicho i trwożnie,
Palec na ustach kładąc ostrożnie...

Budzi się wszystko, co tajemnicze,
Co ma nieznane, dziwne oblicze,
I co pierzchliwe i co przelotne
I jak przeżyty dzień niepowrotne.

I co motylich pyłków ma zwiewność,
Drażni ciekawość, nieci niepewność,
Ma czar subtelny misternych tkanek
I koronkowość srebrnych firanek,
Złote brzęczenie pszczelich skrzydełek,
Niestałość wodno tęczowych szkiełek
Gdy oczka mokrych zasklepią sieci,
Wszystko, co wątłe, jak wśród zamieci
Zimowej płatek śniegu, co niknie,
Nim do promieni słońca przywyknie...

Budzi się wszystko, co tajemnicze,
Co ma nieznane, dziwne oblicze,
I co pierzchliwe i co przelotne
I jak przeżyty dzień niepowrotne...

...Z za drzwi zamkniętych melodja cicha
Lutni dolata. Tęskni i wzdycha
Hymn pazia u stóp królowej wygran.
Cyzelowany pięknie filigran
Rodzi gdzieś w myśli mistrza ta nuta,
Jak złotniczego miękki takt dłuta,
Takt z srebrnem pasmem melodji splecion,
Gdzieś z czarodziejskich przędzonem wrzecion..

Budzi się wszystko, co tajemnicze,
Co ma nieznane, dziwne oblicze,
I co pierzchliwe i co przelotne
I jak przeżyty dzień niepowrotne.

Znalazłszy cudów-cud, kwiat paprotny
W śpiącego boru gęstwie samotnej
Rusałka w nagiej krasie swej młodej
Leci świetlana na jasne gody
Swoich z księżycem białym zaręczyn
Na blasku z srebra tkanych pajęczyn.
Do nagiej piersi, jej bladolica
Tuli się paproć: moja tęsknica...

Leopold Staff.

Prus o ostatniej powieści Tołstoja.

Powieść Tołstoja: „Zmartwychwstanie“ posiada wszystkie cechy dobrego pokarmu dla duszy. Utworu tego nie można nazwać ani „milutkim“, ani „ładniutkim“, ani nawet bardzo smakowitym; ale — używając dalej kuchennych porównań — trzeba przyznać, że ze względu na plastykę, jest on dla umysłów w wysokim stopniu strawny, a ze względu na treść — jeszcze w wyższym stopniu — pożywny.

Chwilami zdaje mi się, że powieść ta należy do najwznioślejszych utworów, na jakie zdobył się duch ludzki, pomimo że jest pisana jakby na przekor ulubionym teorjom estetycznym. Kto szuka w powieści pięknych niewinnych dziewic, pełnych honoru i bohaterstwa młodzianów, powłoczystych spojrzeń, niedomówionych zdań, brylantowych łez, szelestu jedwabiów, czystej miłości uwieńczonej równie czystem małżeństwem, nadzwyczajnych ofiar, które nic nie odkupują i innych tego rodzaju dziecińistw, które już nawet pensjonarkom przestały imponować, ten — niech nie czyta „Zmartwychwstania“.

Znajdzie tam bowiem rzeczy, które przejęłyby zgrozą wszystkie cnotliwe i piękne, tudzież pięknie i cnotliwie wychowane osoby. Znajdzie tam więzienne cele z ich zepsutem i wilgotnem powietrzem, z cuchnącymi kubłami, z kwadratowemi okienkami w zamkniętych drzwiach, cele wypełnione zabójcami, złodziejami, podpalaczami, tudzież istotami ludzkiemi nie posiadającemi paszportów, a przynajmniej posądzonemi o brak takowych. Znajdzie chłopskie chałupy, w których dzieci umierają z głodu, kobiety czasem trują mężów a mężczyźni, gdy kto zaproponuje im, żeby raczyli darmo przyjąć ziemię, odpowiadają:

— Ho, ho, nie weźmiesz nas na taki stary kawał!... „Darmo wam ziemię oddam, tylko się podpiszcie. Jeszcze mało nas naokłamywali. Nie kochanku, myśmy teraz zmądrzeli“.

W powieści znajdują się i salony, gdzie wśród jedwabiów i aksamitów, jedni nudzą się, inni kokietują ziewając, inni ziewają odrabiając, jak pańszczyznę, swoje trudne i niebezpieczne obowiązki, a jeszcze inni, dla spełnienia obowiązków, muszą odrywać się od spirytystycznych posiedzeń.

Nareszcie znajdują się tam i sądy, w których, przez roztargnienie, skazuje się do katorgi ludzi niewinnych. Ale nad tem wszystkiem górują kryminały, etapy i półetapy, kędy „wszy karmią się ludźmi“ i gdzie jest tak ciasno, że śpiący katorżnicy muszą leżeć około „paraszy“, przez której szczeliny wycieka niechlujstwo.

Takim jest grunt tej nadzwyczajnej powieści, grunt z którego wyrósł cały ogród kwestyj społecznych, psychologicznych, moralnych i religijnych. I z tego powodu „Zmartwychwstanie“ stoi na granicy, na której kończy się literatura, a zaczynają ogromnej doniosłości czyny.

Wiemy z katechizmu, że, gdy człowiek popełni grzech i pragnie go zmazać, powinien odbyć spowiedź, uczynić akt skruchy i wynagrodzić poszkodowanego. Otóż ziarnem, z którego wyrosło „Zmartwychwstanie“, jest właśnie skrucha grzesznika, tudzież chęć wynagrodzenia krzywdy.

Książe Niechludów, który jako student kochał się w pokojówce swych ciotek i marzył o uszczęśliwieniu biednego ludu, zostawszy oficerem, zaczął hulać i, przy okazji, uwiódł ową pokojówkę, Katię. Dziewczyna została matką, za co ciotki Niechludowa wypędziły ją ze dworu — i — poszła w służbę, zkąd znowu przepędzano ją, jak ubogiego psa, ponieważ odpychała umizgi swoich chlebodawców.

W taki sposób, gnana z kąta w kąt, znalazła wreszcie przytułek, a nawet dosyć intratne stanowisko, u pewnej damy, która umiała ciągnąć zyski z wdzięków kobiecych i ułomności męzkiej. Na tem stanowisku mimowoli przyczyniła się do śmierci jakiegoś bujnego kupca i — poszła pod sąd za otrucie.

Skazano ją, jak wspomniałem, przez roztargnienie. Jednym zaś z sędziów przysięgłych, którzy zesłali ją do katorgi, był jej pierwszy kochanek, Niechludow!...

Wyobraźmy sobie taki wypadek. Człowiek, stojący na szczycie spadzistej góry, po pijanemu kogoś potrącił. Ten ktoś upadł i zaczął staczać się coraz niżej. Gdy już był na połowie drogi do przepaści, jego zabójca oprzytomniał i, jako człowiek w gruncie rzeczy szlachetny, zapragnął uratować swoją ofiarę. Więc począł biegnąć za nią, tam na dół, używając po drodze wszelkich środków, aby powstrzymać nieszczęśnika.

No i udało mu się. Tam, na dole, znajdowała się gromadka ludzi także niepospolicie szlachetnych, z których jeden otworzył ręce i schwycił staczającą się Katię. Mówiąc poprostu — dla wynagrodzenia krzywdy, jaką jej wyrządził, dla wskrzeszenia jej biednej, napół umarłej duszy, książę Niechludow gotów był ożenić się ze skazaną do katorgi ex-prostytutką. Tymczasem zakochał się w niej inny także bardzo oryginalny człowiek — Simonson, zesłaniec polityczny. Katia zaś, wskrzeszona przez poświęcenie Niechludowa, sama znowu poświęciła się dla niego i, choć kochała go, choć otrzyma'a ułaskawienie z katorgi, postanowiła związać dolę swoją nie z wielkim panem, ale z katorżnikiem Simonsonem.

„Jak Dant za życia przeszedłem przez piekło“ — powtarzali za poetą, który wcale nie przeszedł przez piekło, rozmaici młodzi entuzjaści, którzy nie myśleli przechodzić przez piekło. Ale Niechludow był naprawdę tym Dantem, który, wszedł do piekła i zwiedził wszystkie jego kręgi, poznał bodaj czy nie wszystkie rodzaje potępieńców.

Począwszy od Kati, która, na zapytanie przewodniczącego: czy ma co na swoją obronę?... „obejrzała się po wszystkich jak zgonione na śmierć zwierzę i spuściwszy oczy, płakała, łkając głośno“ Niechludow widział — i tę „gromadę ludzi, przylepionych twarzami do kraty, jak muchy, co obsiadły kawałek cukru“ i tego starego kamieniarza, po którego „policzku pełzała wielka, szara wesz“ i Marję Pawłównę, córkę generała, która za to poszła do katorgi, że wzięła na siebie cudzą winę, i nieszczęsną Lidję, która niespokojnie oglądając się i nawijając warkocz na palce, dopóty tłómaczyła każdemu, że, Mitin nie przez nią został aresztowany, dopóki nie wpadła w atak spazmów...

I jeszcze widział Niechludów dwu aresztantów, którzy, pędzeni w gorący dzień na stację kolei, ulegli porażeniu słonecznemu i tego zesłańca, który z katorżnikiem pomieniał się na osoby i tego beznosego, który zabił towarzysza i karmił się jego mięsem...

To widział i jeszcze dziesiątki i setki innych, jedna od drugiej okropniejszych rzeczy. Ale, zamiast pojechać na odpoczynek do Szwajcarji i ogłosić światu:

„Jak Dant za życia przeszedłem przez piekło“...

On cicho osiadł na Syberji, w sąsiedztwie tychże katorżników, mówiąc sobie:

„Szukajcie królestwa Bożego i prawdy, a reszta będzie wam dana. My zaś szukamy tylko tej reszty, a nieznalazłszy jej, nie budujemy królestwa Boskiego, ale je burzymy“.

„Zmartwychwstanie“ można porównać do ogrodu tak zapełnionego drogiemi i osobliwemi roślinami, że aż ciasno. Nie kuszę się o wskazanie wszystkich godnych uwagi szczegółów, ale wspomnę o najwydatniejszych.

O języku Tołstoja nie można powiedzieć, że jest „brylantowym“ — „złotym“ a choćby tylko „spiżowym:“ jego bowiem zalety tkwią w jasności, prostocie i dokładności. Autor rzeźbi nim i maluje, ale nie dopuszcza się sztuk fryzjerskich, cukierniczych lub jubilerskich. On wie, że każdy wyraz jest to drut telegraficzny, przeciągnięty od autora do czytelnika, że więc trzeba drutów tych używać jak najmniej i nie ponosić wydatków na bezcelowe ich przyozdabianie.

Za to obrazowość autora jest niezrównana. Czytelnik widzi: szary, więzienny płaszcz Kati i jej twarz białą“ — tą białością właściwą ludziom, długi czas zamkniętym w więzieniu, która przypomina kiełki kartofla wyrosłe w wilgotnej piwnicy“. Widzi tego żołnierza z czerwoną ospowatą twarzą i drugiego, który miał wydatne szczęki. Podobnież widzimy prezesa sądu, otyłego mężczyznę o długich, siwych bokobrodach, który przed posiedzeniem zamyka się na zasówkę w gabinecie i gimnastykuje się ciążkami, — jak również tego sędziego, który wchodząc na salę rachuje kroki, ażeby wywróżyć sobie: czy nowy system kuracji wyleczy go z kataru żołądka?

Widzi się wszystko i wszystkich: aresztantów, dozorców, konwojujących, wielkich dygnitarzy, obdartych chłopów, dzieci w brudnych, perkalowych koszulach i ten pociąg za którym ongi biegła Katia, a który najpierwiej ruszył wolno, wstecz. Następnie zaczęły ruszać — naprzód — jeden za drugim wagony. Potem ruszył wagon, przy którym stała Katia, potem mimo niej pędziły wagony drugiej klasy, a potem jeszcze bystrzej wagony klasy trzeciej...“

Każda osoba wchodząca do powieści posiada charakter, cel i uczucie, które zajmuje ją w danej chwili, godzi się lub niegodzi się z celami i uczuciami innych osób. Prawie niema tam ludzi tak złych, w których nie byłoby czegoś dobrego, ani dobrych, bez grzechu, ani absolutnie pięknych, ani bezwzględnie brzydkich. Główni zaś bohaterowie: książe Niechludow i katorżnica Masłowa, aczkolwiek wznoszą się na szczyty ludzkiego poświęcenia, czynią to z wielkim trudem, wśród ciągłych wahań i potknięć.

Całe to zbiorowisko ludzi rozmaitych sfer towarzyskich, różnej płci, wieku, oświaty i wartości moralnej, nie tworzy bezładnego chaosu, ale potężny, choć mroczny obraz. Jest to niby rzeka, szeroko rozlana i falująca, na której powierzchni siedmiuset aresztantów, niby kra z siedmiuset kawałków lodu, odpływa drogą na Sybir, do katorgi. A nad tym pochodem, jak słońce unosi się duch wielkiego człowieka, który oświetla rozmaite nędze społeczne i niezmierne cierpienia jednostek.

W powieści tej, obok ogólnie ludzkiego współczucia dla niewinnych a cierpiących, zastanawiają czytelnika pewne jakby specjalnie rosyjskie idee.

Skłonność do skruchy. Wśród narodu rosyjskiego trafiają się ludzie, gotowi nie tylko żałować za grzech popełniony, ale nawet — wyznać go publicznie „na rynku“... Nawet więcej: trafiają się bowiem i tacy asceci czy dziwaki, którzy przyznają się do niepopełnionego grzechu, byle cierpieć jak Chrystus!...

Na tem tle charakter księcia Niechludowa staje się zrozumialszym. W każdym innym kraju człowiek taki wyglądałby jak kartka wycięta z życia św. Wincentego a Paulo lub św. Augustyna.

Litość nad więźniami. Dla wielkorosjanina każdy więzień jest „nieszczęsny“ i każdy otrzyma pomoc, choćby w formie jałmużny. O tych rzeczach dużo słyszałem opowiadań od świadków naocznych, zaś narodowe uczucie tłomaczy nam pełen miłosierdzia ton, jakim Tołstoj mówi o więźniach, bez względu na ich przestępstwa.

Nie sprzeciwianie się złemu. E. Sołowjew cytuje zdanie Tołstoja, że: „gdyby do jego domu wdarł się zulus i zarzynał mu dziecko, on, Tołstoj, nie sprzeciwiał by się temu“.

Tołstoj jest zbyt silnym umysłem, ażeby podobny frazes mógł rzucić bez dostatecznych motywów. Ja jednak tego zdania nie rozumiem, choć doskonale pojmuję inną, pokrewną zasadę, — „nie wojować na próżno ze złem“, którą widzimy w „Zmartwychwstaniu“.

Jeden z pędzonych do stacji więźniów niesie małą dziewczynkę, swoją córkę. Oficer konwojujący każe mu dziecko odebrać, a samego zakuć w kajdany. Rozkaz jest okrutny, zły, ale — nikt mu się nie sprzeciwia.

Aresztantka rodzi w wagonie i jęczy. Niechludów mówi o tem oficerowi, który odpowiada mniej więcej w taki sposób:

— Niech jęczy, cóż panu do tego?

I Niechludów choć książę, choć spokrewniony z największymi dygnitarzami w państwie — usuwa się milcząc. Nie manifestuje swego oburzenia“ — „nie demonstruje dla samej zasady“, nawet — „nie ściska pięści i nie błyska zagniewanemi oczyma“, bo... na coby się to zdało?... W więzieniu był przecież jeden taki Wisiljew, który ujął się za uderzonym przez dozorcę aresztantem i „zaprotestował dla zasady“. No i dostał 40 rózg, a potem już zapewne nie protestował.

Kto chce „walczyć ze złem“, musi mieć odpowiednie siły i mocną wolę, że albo — zwycięży, albo — zginie. Ale kto bez sił i bez gotowości na śmierć „protestuje przeciw złemu dla zasady“, ten tylko złe umacnia, a siebie wystawia na haniebną porażkę.

Zdaje się wreszcie, że zasadę „niesprzeciwiania się złemu“ w pewnej mierze wyjaśnia następująca cytata J. A. Święcickiego w przedmowie do „Zmartwychwstania“ (Bibljoteka dzieł wyborowych Nr. 123 — 125, przekład G. Dolińskiego).

„Największem nieszczęściem — pisze Tołstoj — jest nędzny, opłakany stan chłopów, a to złe poprawić można tylko przez pracę i cierpliwość“...

Rzeczywiście — ogromną większość „złego“ w życiu można poprawić nie przez walkę, a tem mniej nie przez jałowe „manifestacje dla zasady“, ale tylko przez — „pracę i cierpliwość“. Ten pogląd Tołstoja jest zrozumiały.

„Zmartwychwstanie“, współczesnie z oryginałem, drukowało się we wszystkich europejskich językach: dowód — jak cenionym jest autor. W naszym języku jednocześnie ukazały się cztery edycje tej znakomitej powieści: dowód — że polski ogół oświecony rozumie i odczuwa genialnego pisarza.

Na rosjan zaś wpływ „Zmartwychwstania“ ma być potężny.

Istotnie, czytając ten dramat, człowiek domyśla się, że chyba nie ma prokuratora, nie ma członka sądu czy senatu, nie ma sędziego przysięgłego, który, posiadając choć odrobinę ludzkich uczuć, nie przejąłby się ciężką dolą Masłowej i nie zapragnął unikać tych roztargnień, które na całym świecie stają się przyczyną skazania niewinnych. I że niema dozorcy lub konwojnego, który odtąd nie pragnąłby ulżyć losowi skazanych.

Słowem — powieść ta w społeczeństwie rosyjskiem musi wywołać korzystny ferment: „podniesie dusze i poprawi obyczaje“. A w takim razie autor otrzyma słuszny tytuł: reformatora swego narodu, apostoła prawdy i miłosierdzia. Co niech się stanie.

Z ULICY.

Knuta Hamsuna.

Chodziłem po pokoju, a myśl moja wracała ustawicznie do przygody z roznosicielem dzienników. Nie zajmował on mnie wcale, nic mu złego nie uczyniłem, przeciwnie wyszedł na mnie wcale dobrze. A jednak dwie godziny straciłem, biegając za nim, aby mu wynagrodzić moje zachowanie się względem niego.

Zdarzyło się to, kiedy chodziłem bez celu po

ulicy Karola Jana. Zimno było i ciemno, zwłaszcza ciemno, godzina była może siódma. Wałęsałem się, rozglądając po ulicy.

Na rogu, obok cukierni Güntera stał chłopiec i wołał: „Viking“. Nic, tylko te słowa wywoływał:

— Kupcie, panie, Vikinga.

Nie spostrzegłem go z razu; dopiero, gdy uszedłem kilka kroków, doszło moich uszu jego nawoływanie. Odwróciłem się i spojrzałem: przemknęło mi przez głowę dać mu dziesięć öarów — nie zubożejesz bardziej przez to — pomyślałem i wyraźnie sięgnąłem do kieszeni po monetę. Podnoszę fakt, że pierwszym moim impulsem było dać chłopcu dziesięć öarów. Ale, gdy już miałem rękę w kieszeni, przyszła rozwaga, i powiedziałem sobie w duchu, że dawanie ludziom dziesięciu öarów, to żadna pomoc dla nich; właściwie nie starczyłoby nawet dziesięć koron, a co gorsza, to działa demoralizująco i t. p.

Poszedłem swoją drogą, zostawiając chłopca w spokoju.

Dotarłem pod uniwersytet i wróciłem. Przed wystawą Cammermeyera*) przystanąłem, oglądając książki: gdy tak stałem odwrócony od ulicy, posłyszałem znowu głos chłopca. Był tuż za mną i spierał się z kilku pijanymi marynarzami w kaszkietach na głowie o numer „Vikinga“, który mu wyrwali i podarli. Marynarze nie chcieli numeru zapłacić, a chłopak zaczął płakać.

Przystąpiłem do nich i dowiedziałem się, o co chodzi, upomniałem więc ostro żartownisiów, że obowiązkiem ich jest zwrócić należytość za podarty numer, ale nic nie pomogło, śmiali się ze mnie, podrzeźniając.

— Patrzcie go!

To mnie ubodło — gniewnie zacisnąłem zęby. Dostałem niegdyś wielką, okrągłą szpilkę do krawatki, która od biedy mogła się i do czegoś innego przydać; była tak duża, że można ją było wziąć za odznakę policyjną lub jakiś tajemniczy symbol. Szpilkę tę noszę zawsze w podszewce surduta z lewej strony. Kiedy pijani marynarze bawią się w najlepsze podartym numerem „Vikinga“, nie chcąc go zapłacić, wpada mi nagle do głowy szalony pomysł: zwracam się do pijaniców, rozpinam surdut i w milczeniu pokazuję moją niezwykłą szpilkę. Zmierzyliśmy się oczami; poczem krótko i stanowczo rzuciłem:

— Albo panowie zapłacą lub pójdą ze mną!

Poskutkowało. Zapłacono „Vikinga“ i wszyscy czterej, spierający się o numer, rozeszliśmy się w różne strony. Chłopiec otarł łzy i poszedł w górę ulicy Karola Jana, ja zaś w dół zawróciłem, marynarze skręcili w kierunku Tivoli.

Od poczty wróciłem znowu. Myśl moja ciągle zajęta była chłopcem. Rozumowałem w ten sposób: pomogłeś malcowi do wydobycia należytości, zapewne będzie ci za to wdzięcznym i nie będzie cię już nudził, gdy się z nim spotkasz; posiada przecie jakiś takt a może nawet odebrał lepsze wychowanie.

Pod „Grandem“ zobaczyłem go znowu. Stał pod samą latarnią, że mogłem go doskonale widzieć. Zbliżając się do niego, powiedziałem sobie w duchu: jak tylko na mnie okiem rzuci, umilknie zapewne, póki nie przejdę. Szedłem umyślnie tuż pod latarnią, aby mnie mógł poznać.

Przeliczyłem się. Nie odróżnił mnie od reszty przechodniów i wpychał mi paczkę dzienników, zachęcając do kupienia „Vikinga“.

Minąłem go w milczeniu, niewzruszony. Grubo się na nim oszukałem; widocznie to jakiś urwis, nicpoń prawdziwy, który już zapewne pali tytoń i „zgubił“ książeczkę ze świadectwami, jeżeli w niej były same złe noty. Jednem słowem w ładne ręce się dostałem! Byłem prawdziwie zagniewany na niego. Idąc dalej, usiłowałem przekonać siebie, że dobrze zrobiłem, nic dając mu owych dziesięciu öarów, bo na nie nie zasłużył.

— No, jeszcze tylko trzeba, aby mnie nagabywał po raz trzeci! Był w stanie to uczynić, bo zuchwały był z niego chłopiec. Właśnie tego brakło!

Od uniwersytetu znowu zawróciłem. Zacząłem obliczać, w którem miejscu go mogę spotkać. Tak się urządzę, abym się natknął na niego w mocno oświetlonym punkcie ulicy, aby mu jeszcze raz pozwolić się poznać. Może mnie nie dość wyraźnie widział pod „Grandem“ — możliwe. Szedłem, rozmyślając bez przerwy, aż mnie to zdenerwowało; ze wstydem wyznaję gorączkowałem się najgłupszemi pomysłami. Przypuśćmy zatem — rozumowałem — że chłopiec poszedł sobie po prostu do domu. Kto wie, może zawrócił i idzie przez całą długość ulicy, zamiast zdążać ku mnie?

— I czy uwierzycie, ja, stary człowiek, wyciągałem nogi, biegnąc niemal, aby biednemu kolporterowi dać sposobność zaofiarowania mi jeszcze raz „Vikinga“ — jeżeli się zbierze na odwagę naturalnie?

Pod Blomquistem ujrzałem go stojącego spokojnie we framudze okna, ze skurczonemi ramionami i rękami w kieszeniach od spodni, trzęsącego się z zimna. Od czasu do czasu zapraszał przechodniów do kupienia Vikinga.

Nie wyciągał rąk i nie podawał wcale dzienników.

Zbliżyłem się, tak blizko byłem, że nawet łokieć przestrzeni nas nie rozdzielał, a widział mnie dokładnie przy świetle, bijącem od dioramy. W jednej chwili wyprostował się, wybałuszył na mnie oczy, podniósł plik dzienników i jakby nic nie zaszło pomiędzy nami poprzednio, zawołał:

— Kupcie panie Vikinga!

Stanąłem. W takiem naprężeniu wyczekiwałem wypadku tej próby, że mi serce zabiło silnie, kiedy te słowa wyrzekł.

*) Największa nakładowa księgarnia w Chrystyanji.

Opadły mnie głupie myśli. Chłopiec widocznie żartuje sobie ze mnie z zimną krwią, ofiarując mi dwukrotnie kupienie Vikinga. Byłem zły, zmęczony i w najostrzejszych słowach zacząłem mu wyrzucać, że nie daje ludziom przejść spokojnie. Nie odpowiedział nic, tylko patrzał na mnie, jak przedtem, to już była zaciętość!

Wtedy wpadł mi do głowy nowy pomysł: wyjąłem z kieszeni półkoronówkę, podsunąłem ją chłopcu pod nos i upuściłem umyślnie między żelazne szczeble na których stał. Jeszcze nie wydobyłem dobrze tej półkoronówki, kiedy już wyciągnąłem drugą, puszczając ją za tamtą.

— Bądź łaskaw — rzekłem śmiejąc się złośliwie, wyjąć je sobie ty, djabliku i zostawić mnie w spokoju.

Żelazo było obmarznięte i doznawałem zadowolenia, patrząc jak mój trapiduch pracuje, aby się dostać do celu. Zimne, żelazne listewki zatrzymywały mu chwilami palce. Zauważyłem także, że nawet zranił sobie jedną rękę, ale pracował niezmordowanie nad wydobyciem owych półkoronówek. Nie dał za wygraną, podwinął rękaw i wsunął rękę między żelazo a mur. Ręka to była cienka, jak patyk.

Nakoniec wyciągnął jedną sztukę.

— No, jednę mam! zawołał uszczęśliwiony.

Wysuwając rękę zdrapał sobie skórę do kości. Spojrzał na mnie, czy nie żartowałem z niego, czy może wziąć te pieniądze wszystkie. Skoro nic nie powiedziałem, zatrzymał je i zabrał się do wydobycia drugiej półkoronówki. Znowu wcisnął rękę w szparę i zaczął wyciągać palce po niewielki skarb. Wytrwałość miał niezwykłą, próbował z jednej, znów z drugiej strony, wyciągając język w bezradności swojej jak gdyby to mogło pomódz.

— Żebym to miał trzaskę jaką, przygarnąłbym ją sobie, bliżej powiada. Jednocześnie podnosi głowę, patrząc na mnie.

— Czy on odemnie się spodziewa pomocy? Cóż on sobie myśli ten chytry nicpoń, że ja mu będę chodził trzasek szukać?

— Przyniosę ci ją, mówię głośno. Ale wcale nie dlatego, by ci pomódz, żebyś sobie wiedział! przyniosę ci taką krótką, że i tak nic z nią nie zrobisz. Zaczekaj zaraz wrócę.

— Nie, nie warto — odpowiedział.

Sięgnął do kieszeni i wyjął zardzewiały kozik, którym zaczął grzebać. Trzymając go dwoma palcami, oparł o półkoronówkę. Długo i ostrożnie ciągnął pieniądz coraz dalej, dalej ku ścianie, ku szparze.

— W ten sposób ją wydobędzie, bo mały hultaj nie chce zrezygnować — pomyślałem. Patrzałem z niechęcią, jak mu się zdawało; posłyszałem go nawet pomrukującego:

— Już niedaleko!

Rozglądnąłem się. Zebrała się gromadka ludzi, przypatrująca się mnie i chłopcu. Obróciłem się na pięcie i poszedłem swoją drogą.

Po chwili jednak puściłem się znowu w Karola Jana, na poszukiwanie malca. Nie dojrzałem go nigdzie. Z duńską dwukoronówką w ręku biegałem za nim dość długo; chciałem się z nim pogodzić i dać mu trochę monety za tych kilka ran na rękach.

— Et! zapewne sobie tytoniu kupił za tamte pieniądze albo jeżeli to był jeden z tych lepszych, może je i przepił! Hańba i grzech dawać mu cośkolwiek, pomyślałem i poszedłem do domu.

To zaszło wczorajszego wieczora.

A dziś, jak wyżej powiedziałem znowu chodzę i myślę o chłopcu. Przypomina mi się ta biedna jego rączyna i kilka kropel krwi na kościach. Widzę ciągle przed sobą całą tę maleńką postać ulicznika, jak leży na brzuchu ponad żelazem i wyciąga język i palce po srebrną monetę.

Z norweskiego przełożyła

Józefa K.

Z pism i książek.

Bardzo ciekawy przedmiot badań ludoznawczych tworzą nazwy miejscowe, jak miast i miasteczek, wsi i osad, przysiołków i wólek, fowarków i karczem, pól, łanów tak i pastwisk, bagien, rzek, potoków i t. d. W nazwach tych odbija się częstokroć bardzo wyraźnie jakaś do miejsca przywiązana baśń, legenda lub podanie ale, niestety, te bardzo nieraz ciekawe tajemnice starodawnych nazw miejscowych giną powoli i wkrótce zaginą doszczętnie, bo je zabiorą starzy ze sobą do grobu. Z tej zasady wychodząc, wydał p. Br. Gustawicz, bardzo czynny członek tow. ludoznawczego, oddziału chrzanowskiego, kwestjonarjusz w sprawie ludowych nazw miejscowych w powiecie chrzanowskim. Kwestjonarjusz ten umieszczony w ostatnim zeszycie «Ludu» zawiera 36 pytań

Wobec wielkiego znaczenia nazw miejscowych, jakie mają nietylko dla ludoznawstwa, ale także dla językoznawstwa, życzyć by sobie należało, aby ludzie chętni i w innych powiatach wzięli się do tej sprawy i niewielkim nakładem pracy zechcieli ratować pamiątkę żywego słowa od zagłady.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.